









Na lekcjach filozofii, gdzieś w okolicach mojej pełnoletności, usłyszałam określenie *distanzschaffende Nähe*. Bliskość stwarzająca dystans. Brodaty nauczyciel zademonstrował nam tę koncepcję podchodząc do drzwi i niemalże dotykając ich nosem powiedział, że z takiej perspektywy także można uzyskać dystans. Wtedy to przez sieć rozrastających się w szalonym tempie połączeń neuronalnych w moim mózgu krążyły takie nazwiska jak Ernst Bloch, Theodor Adorno i Bracia Wachowscy. Odbijały się od siebie, raz pędząc niczym cząsteczki w wielkim zderzaczach hadronów, innym razem – układając się w mozaikę, która już za chwilę zmieniała swój układ. Zupełnie jak w kalejdoskopie z odpustu w Lipach...

Uważam, że dla harmonii życiowej i szeroko pojętego uczucia szczęścia niezwykle istotna jest umiejętność dystansowania się. Dystansowania się od tego, co nas otacza, od sytuacji

i rzeczy, od ludzi, ale także od siebie. Pamiętacie? *You don't have to believe everything you think. We've been programmed. Wake up! We missed you.*

W tej praktyce bardzo pomogła mi koncepcja, o której mówi moja Dilerka Dźwięków Sandra aka Wyrocznia/Das Orakel. Ja to nie ja. Ja to wiele bytów. Moja Wewnętrzna Istota jest o wiele większa, niż moje ciało fizyczne. Moje ciało jest we mnie. Jest tam też energia, którą wysyłam i której wibracje stale podnoszę. Ta energia to światło. Jestem światłem, ale w tym doświadczeniu ziemskim przyjmuję także różne tożsamości – tożsamość córki, tożsamość ofiary (raus!), tożsamość bizneswoman, tożsamość artystki, tożsamość żony (raus!), tożsamość kobiety itd.

Moja Wewnętrzna Istota to nie tożsamość.

Tożsamości są niczym programy komputerowe. Wchodzimy w nie po to, żeby doświadczać i wzrastać.

To trochę jak gra Super Mario na Gameboy'u.

Kolejne poziomy i kolejne doświadczenia.

Kiedy mam z czymś trudność, staram się pamiętać o tym, że to tylko moja tożsamość czegoś doświadcza. Ta trudność należy do niej i wynika z filtru, który nabyła w toku wychowania i socjalizacji w danej kulturze, w konkretnej rodzinie, szkole itp. Nabieram dystansu, robię krok albo kilka kroków wstecz i patrzę z szerszej perspektywy. Jako fotografka używająca najchętniej obiektywów ze stałą ogniskową ćwiczę to na okrągło...

Tak patrzę na sytuację z ogrodem i tarasami.

Obiektywnie rzecz biorąc pracuje dla mnie dużo ludzi upiększając moje najbliższe otoczenie.

Osoby te umieszczają w glebie rośliny – 1000 roślin – które same w sobie są już manifestacją życia i będą rosły, rosły, rosły, kwitły, wybuchały energią życiową. To się dzieje już teraz. Kiedy wykonuję jeszcze jeden krok wstecz, dostrzegam, że nie muszę robić niczego i że wszystko to dzieje się poza mną. Od A do Z ta sytuacja do mnie przysłała, a ja tylko nią trochę nawiguję. Moja trudność polega na tym, że nie mogę przeżywać

swoich dni tak, jak jestem przyzwyczajona to robić. Nie mogę chodzić nago po domu. Nie chodzę też w pidżamie. Muszę rozmawiać z ludźmi przed południem. Nie mogę za bardzo pracować ani pisać doktoratu. W sumie, to najlepiej byłoby gdybym po prostu leżała w trawie ciesząc się, że nie muszę wykonywać tej ciężkiej pracy samodzielnie. Ona po prostu postępuje niezależnie od moich materialnych starań.

No to jeszcze jeden krok.

Czyli wystarczy, że będę leżała i się cieszyła?

Wczoraj wypróbowałam.

Doświadczenie było niczym u komandosów GRU – mrówczy kwas wyżarł mi pół pośladka, ale wieczorem miałam poczucie pięknie przeżytego dnia.

Wygląda na to, że przerabiam ogromną lekcję nauk Abrahama.

*Nic nie robić, nie mieć zmartwień* i – broń Bogini – nie stawiać oporu.

Albowiem opór jest jak Agent Smith u Braci Wachowskich.

Włazi Ci w system i rozwala wszystko od środka.

I tylko w nieprzyjemny, bolesny sposób opóźnia nieuchronne.

I po co to to komu?

Weź już wrzuć na luz...

Luigi już przebiera nogami, żeby wejść ze mną na następny level.

Wspominałam już, że Sandra ma swoją pizzerię?

Village Ranger aka Super Mario







